

Festiwal Pieśń Naszych Korzeni w Jarosławiu

Śpiewy na koniec wieku

DOROTA SZWARCMAN

■ W końcu sierpnia do Jarosławia z roku na rok zjeżdżają coraz większe tłumy. W tym roku liczba przyjezdnych przekroczyła trzy setki, a na koncerty chodzą przecież też miejscowi, kościoły pękają więc w szwach.

Publiczność z całej Polski i z zagranicy, w większości bardzo młoda, o festiwalu dowiaduje się najczęściej pocztą pantoflową – od znajomych, przez młodzieżowe duszpasterstwo, przez środowiska młodzieżowych zespołów uprawiających muzykę dawną gdzieś w Świeradowie czy Elblągu, przez środowiska kultury alternatywnej związane z Teatrem Wiejskim „Węgajty”. Co ich przyciąga? To, że nie jest to zwykły festiwal, lecz o wiele więcej. Tu nie tylko chodzi się na koncerty, ale pracuje się razem nad chórami gregoriańskimi, który potem śpiewa się na nie-sporach; mieszka się, spotyka i muzykuje z najwybitniejszymi artystami Europy związanymi z muzyką dawną. Tegoroczny, szósty już festiwal (po raz trzeci w Jarosławiu, przedtem w Starym Sączu) odbył się w dniach 23-30 sierpnia, ale miał w niedzielę swe przedłużenie w Krakowie: w dominikańskiej bazylice św. Trójcy liturgię według zasad sprzed siedmiu wieków odtworzył 40-osobowy zespół pod kierownictwem słynnego francuskiego muzyka i muzykologa, założyciela i szefa Ensemble Organum Marcela Pérèsa; śpiewali też w krągankach limicy. Projekt ten, zwany Septuaginta, został wpisany w program Krakowa 2000, w szerszy projekt „Siedem tradycji” (więcej pisał o nim w numerze 36 „TP” Maciej Kuziński).

Marcin Bornus-Szczyciński, dyrektor festiwalu, zapragnął w tym roku zmienić jeszcze bardziej jego formułę. Jest bowiem przeciwnikiem formy koncertu – uważa, że to forma sztywna i martwa, słuchacz siedzi jak na torturach, otrzymując w zamian porcję muzyki „dostosowaną statystycznie do możliwości jego odbioru”. Postanowił więc w tym roku skrócić koncerty do godziny. Jednak właśnie na tym festiwalu znalazły się dowody na błędność jego poglądu. Dwa koncerty były po prostu genialne, oba zresztą całkowicie różne od siebie: inauguracyjny występ zespołu Mala Punica, grającego z ujmującą lekkością i prostotą trudne, spekulatywne dzieła Johannesa Ciconii (przełom XIV i XV w.), oraz zamykające festiwal hiszpańskie „Cantigas de Santa Maria”

wykonane przez zespół Micrologus z niesamowitym ogniem, z wyraźnymi inspiracjami muzyką ludową. Oba te wybitne włoskie zespoły zagrały w Polsce po raz pierwszy. Koncert mijął jakby w jednej sekundzie i wszyscy czuliśmy rażący niedosyt obcowania z ich sztuką. Choć może tak właśnie jest lepiej?...

Koncerty skrócono także dlatego, że poprzedzając je godzinę przeznaczono dla śpiewu limików. Limictwo odradza się ostatnio w naszej części Europy. Najbardziej na Ukrainie, gdzie cechy limików i dudziarzy istnieją już w Kijowie, Charkowie i Lwowie. Mychajło Chaj, w cechu kijowskim Limik Stefan (w cywilu wykładowca konserwatorium), zaprezentował najbardziej dynamiczną i emocjonalną formę tego specyficznego głoszenia pieśni. Inny, bardziej powściągliwy w emocjach był Aleś Łoś z Białorusi; ciekawe, że niektóre jego pieśni miały tę samą treść (choć nie muzykę) co pieśni polskie zaprezentowane przez Janusza Prusinowskiego (opowieść o dwóch braciach – złym bogacz i biednym Łazarzu) oraz Annę i Witolda Brodów z Węgajt (o nieczystej wodzie i dzieciobójczyni). Przed jednym z koncertów wystąpił też Taivo Niitvaegi, szef zespołu Linnamuusikud z Tallina, który śpiewał akompaniując sobie na dudach i cytrze te same estońskie pieśni religijne i ludowe, które w poprzednich latach prezentował ze swym zespołem.

Znamienne, że ta sztuka przypominana jest właśnie teraz. Większość pieśni limików mówi o marności ludzkiego żywota, o nieuchronności śmierci, o biedzie („od Kijowa do Krakowa każda bida jednako-wa” – Mychajło Chaj), o potępieniu grzeszników, o końcu świata. Katastroficzne nastroje powracają zawsze ze zdwojoną siłą w momentach trudnych do ogarnięcia rozumem. Takim momentem tradycyjnie był koniec wieku. A cóż dopiero koniec tysiąclecia?

W takich czasach, szukając punktu oparcia, powraca się również nieraz do korzeni religii samej w sobie. Festiwal jarosławski wpisuje się w ten wątek od początku istnienia, zaznając publiczność z tradycja-